№. 16

Warszawa dnia 8/20 Kwietnia r. 1867

TYGODNIK MOD I NOWOSCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

SIŁY PODZIEMNE.

(Dokoń. nast.)

Nie zapominajmy także, iż według systemu wierzących w ogień wewnętrzny, nasza planeta winnna być uważana jako massa płynna, ponieważ powierzchnia zewnętrzna, jest względnie bardzo cienką skorupką; w tych warunkach trudno byłoby pojąć, czemuby ten wielki ocean law nie był wzburzony równie jak ocean wód przez kolejne przypływy i odpływy, i nie wznosił dwa razy dziennie, tratwy unoszącéj się na jego powierzchni. Jak tu zrozumieć, czemu ziemia nie jest więcéj spłaszczoną od strony biegunów niż to rzeczywiście ma miejsce, i czemu nie została dotąd przekształconą w prawdziwy krąg? a jednak spłaszczenie północne nie jest przecie wydatniejsze niż proste nierówności zewnętrzne zawarte w pasie zwrotnikowym, między wierzchołkiem Himalai a otchłaniami oceanu Jndyjskiego. Nadto w nowem dziele swojem „*Les éspaces célestes*“ p. Emanuel Liais, słabe to spłaszczenie dwóch biegunów przypisuje niszczącéj pracy, jaką wody i lody północne, nieprzeparcie pociągane ku zwrotnikowi, dokonywają nieustanie z roku na rok, z wieku w wiek, obciążając się ogromną ilością szczątków i cząstek wydzieranych powierzchni ziemi.

Głównym argumentem wierzących w niezaprzeczone istnienie ognia centralnego, jest fakt powszechnie znany, że w zewnętrznych pokładach ziemi explotowanych przez górników, ciepło zwiększa się ciągle w miarę głębokości podziemi. Zstępując do głębi studni górniczéj, przebywa się niezmiennie strefy coraz wyższéj temperatury: tylko wysokość téj progressyi zmienia się odpowiednio do różnych części ziemi i skał w jakich wykute są galerye. Według chemika Bischof'a który całe życie swoje poświęcił badaniu tych kwestyj, ciepło zwiększa się raptowniéj w szystach niż w granitach, więcéj w żyłach miedzi niż w rudzie cyny, więcéj w warstwach węgla niż w pokładach metali. Wszędzie prawie progressya jest mniéj znaczną; średnica przestrzeni która w tym wielkim termometrze pokładów ziemnych, odpowiada pewnemu stopniowi ciepła, jest 25 do 30 metrów.

Dotąd jednak ziemia nie była jeszcze zbadana w wielkich głębokościach: Kattenberg w Czechach i jedna z kopalni Guanajuato w Mexyku, są dotąd najgłębsze ze znanych podziemi, a dosięgają zaledwie jednego kilometru, to jest jednéj szósto-czy siedmio-tysiącznéj części promienia ziemskiego, i nigdzie przyrodzone ciepło gruntu nie przenosi 45 stopni. Nie byłożby to więcéj jak niedorzecznością, chcieć sądzić o stanie całego wnętrza kuli ziemskiéj, z temperatury pokładów zwierzchnich, i utrzymywać że ciepło zwiększające się w stałym stosunku od powierzchni do środka ziemi, dochodzi temperatury 200,000 stopni, to jest przechodzi wszelki możliwy zakres pojęcia dostępnego wyobraźni ludzkiéj? Wyszłoby to na jedno co wnioskować ze stopniowego oziębiania wyższych warstw powietrza, że to obniżanie temperatury nie ustaje aż do środka przestrzeni niebieskich, i że tym sposobem, o 1000 kilometrów od ziemi, zimno dochodzi do 5000 stopni.

Zwierzchnia część kuli ziemskiéj którą przechodzą nieustannie prądy magnetyczne kierujące się od bieguna, do bieguna i w któréj wyrabiają się zjawiska życia planetarnego zmieniające nieprzerwanie wysokość, kształt lądów, musi zapewne znajdować się w szczególniejszych warunkach co do rodzaju ciepła; tak więc stopniowe podwyższanie temperatury w źródłach i studniach i kopalniach, nie dowodzi bynajmniéj cienkości skorupy ziemskiéj.

Już Cozdier, uderzony rozlicznemi zarzutami po

wstającemi w myśli jego odnośnie do cienkości skorupy ziemskiéj, wnioskował, że powierzchnia ta nie może być stałą, jeśli nie ma od 120 do 180 kilometrów grubości.

Nie dawno znowu W. Hopkins, poddając rachunkowi wysokiéj matematyki, zasady przedstawione przez zjawiska ruchu wstecznego punktów równonocnych i kołysań ziemi, doszedł do rezultatu daleko jeszcze przeciwniejszego przyjętemu przypuszczeniu: wypadło że z ogniem centralnym czy bez niego, planeta nasza byłaby ożywioną zupełnie innemi ruchami perjodycznemi, gdyby stała część skorupy wynosiła mniéj jak 1300 do 1600 kilometrów, to jest od czwartéj do piątéj części promienia ziemskiego. Daléj znowu wyrachowania p. Thomson wykazują: że gdyby ziemia posiadała tylko stałość żelaza lub stali, przypływ i ruch wsteczny punktów równonocnych, nie miałyby ważności jaką dziś posiadają.

Powtarzając i roztrząsając wszystkie te badania, p. Emanuel Liais twierdzi, że na mocy zjawisk astronomicznych nie można powątpiewać o stałości planety. Wolno więc mniemać, nie twierdząc jednak stanowczo, że ogień wewnętrzny nie istnieje ale tylko wrzące jeziora materyi palnych, rozrzuconych po różnych częściach planety w niewielkiéj od powierzchni odległości, i oddzielone jedne od drugich kolumnami skał stałych. Według p. Hopkins i Sartoriusza Wattershauzen, historyka Etny, przypuszczenie to najlepiej się godzi ze zjawiskami wulkanicznemi.

Przypuszczając istnienie tych jezior czyli śródziemnych mórz lawy, trudno wyobrazić sobie jak płonące te materje mogą wznosić się z otchłani, mięknąć, rozdzierać stałą skorupę i nareszcie wybiegać już to jak klejowate słupy, już to w długich płynnych strugach. Wiemy w prawdzie z pewnością, że woda ważną bardzo odgrywała rolę w wybuchach wulkanicznych, ponieważ ogromne kłęby mgły wydzierające się prawie nieustannie z kraterów czynnych, przynajmniéj 999 na tysiąc składają się z pary wodnéj, i one to podnoszą tumany popiołów i odłamy stężałéj lawy. Nadto analizy chemiczne pp. Sainte-Claire, Deville i Fouqué dowiodły, że wszystkie sole i gazy wyrzucane przez wybuchy, są zupełnie takież same jak tworzące się przez rozkład wody morskiéj. Tak więc przynajmniéj co do wulkanów sterczących nad wybrzeżami mórz, wolno przypuszczać, że woda oceanu przekształcona w parę działa bezpośrednio w zjawiskach wznoszenia się i wyrzucania law. Jednak jeśli dziś już można uważać fakt ten jako nabytek nauki, nie znamy przeto jeszcze wcale dróg tajemniczych, jakiemi woda słona wciska się w otchłanie podziemne, aby się zamienić w parę i następnie wydobywać kraterami wulkanów.

Jeżeli przypuścimy stałe i nieustanne podnoszenie się temperatury wód, wpędzonych w otchłanie podziemne łączące się z morzem, to na 3000 metrów głębokości będą one miały 100 stopni ciepła, i w tenczas nie zamienią się w parę. Ogromne ciśnienie jakiemu podlegają utrzyma je w stanie płynnym. Według pewnych wyrachowań, opartych zarówno na pewnych danych przypuszczalnych, to najwięcéj na 15 kilometrów pod powierzchnią ziemi, rozszerzalna siła wody miałaby dość mocy aby zrównoważyć ciężar wyższych mass płynnych i nagle zamienić się w parę; ale dlaczegoż ta para miałaby się przechadzać pod podstawami ziemi i podnosić się w stożkach wulkanicznych, kiedy naturalnym skutkiem zwycięztwa swego nad ciśnieniem słupów wody górujących nad nią, powinnaby wracać do głębi morza z którego wyszła? W obecnym stanie nauki trudno bardzo odpowiedzieć na to pytanie, a uznanie swéj pod tym względem niewiadomości, stanowi jedną z niemałych zasług geologów.

Odkrycia fizyki i chemji, objawiające nam nieustanną działalność pary wodnéj w wybuchach wulkanicznych, wytłómaczą nam pewnie kiedyś, jakim sposobem odbywa się ta czynność w skałach podziemnych? Obecnie jednak zjawiska spełniające się we wnętrzu planety, nie są nam lepiéj znane jak historja wulkanów księżycowych. To jednak dziś już można uważać za udowodnione, że stożki wulkanów nie tworzą się wcale przez rodzaj nabrzmiewania ziemi, jak to mniemał Humboldt i Leopold Buch. Ukazanie się Jovello wznoszącego się nagle na 500 metrów wysokości, było jednym z najsławniejszych argumentów na jakich opierali swe przypuszczenie; lecz nagłe to powstanie wulkanu mexykańskiego jest tylko legendą indyjską, nie mogącą się ostać w obec obserwacyj geologicznych, czynionych przez różnych naturalistów, znacznie później niż miały miejsce podróże Humboldt'a. Dowody zebrane w wyż wzmiankowanem dziele p. Boscovitcz żadnéj pod tym względem nie zostawiają wątpliwości.

II.

Jakim sposobem ciśnienie mgły uwięzionéj rozrywa grunt i wyrzuca na zewnątrz lawy i popioły, oraz jak toż samo ciśnienie wstrząsa gruntem i powoduje trzęsienie ziemi? — Oto pytynia których po dziś dzień nauka rozwiązać nie umiała. Dzięki wynalezionym i udoskonalonym przez obserwatorów narzędziom, obecnie jest możebnem zmierzyć linję i prędkość kołysań spółśrodkowych wywołanych każdem wstrząśnieniem. W pewnych okolicznościach można nawet oznaczyć przez przybliżenie, głębokość początkowego punktu wstrząśnienia; jednak przyczyna zjawiska najczęściéj pozostaje nieznana. Nie wiemy zarówno czy mocne drgania ziemi są w rzeczywistości, jak to dotąd przypuszcza większa część geologów, faktami pochodzenia wulkanicznego. Pytamy dotąd na próżno, czy nie są to tylko daremne pokuszenia wybuchu materyj żarów ognistych, lub też czy nie wynikają z zupełnie innych przyczyn niż te które podnoszą stożki wulkanów i przebijają kratery. Ostatnie to zadanie znalazło w gronie uczonych bardzo zapalonych obrońców. W pośród geologów zaprzeczających wszelkiéj styczności trzęsień ziemi ze zjawiskami wulkanicznemi, i śmiało odrzucających przypuszczenia osłonione powagą wielkich imion Humboldt'a, Leopolda Buch'a, Eliasza de Baumont, odznacza się p. Otto Volger. Czytając dzieło jego, każdy głębszy myśliciel uderzony zostaje dowodzeniami opartemi na faktach, zwróconemi przeciwko teorjom niedawno jeszcze powszechnie niemal przyjętym.

W każdym razie jest pewna liczba wstrząśnień ziemi, których pochodzenie wulkaniczne może być bezpośrednio stwierdzone, niezależnie od wszelkiéj teoryi. I tak, gdy grzbiet góry dymiącéj, rozdziera się nagle aby przepuścić potok lawy, a jednocześnie ziemia zostaje mocno wstrząśniona, jasna rzecz że trzęsienie ziemi jest spowodowane rozpadnięciem wulkanu. To zjawisko wstrząśnienia czysto miejscowego, odpowiada zupełnie wstrząśnieniom wynikającym w skutku wybuchu kopalni lub składu prochu. Gdy szczelina jest znacznéj długości, a rozsadzone ściany wulkanu bardzo grube, wstrząśnienie jest gwałtowne i odbija się długiemi oscylacyami w przyległych okolicach; jeśli przeciwnie ściany wulkanu zwolna cieńczeją i roztapiając się przez wznoszące się lawy, łatwo ustępują rozsadzającemu je ciśnieniu, wtedy wybuch tylko w okolicach zetkniętych ze szczeliną uczuwać się daje.

I tak, podczas ostatniego wybuchu Etny, drgania ziemi współczesne z tworzeniem się szczeliny były w ogólności dość słabe, a najsilniejsze, dostrzegalne jeszcze w mieście Aci-Reale, nie przeszły po za właściwy pas etneński. Daléj historya przekazuje nam wiele wypadków wybuchów wulkanicznych, którym bynajmniéj nie towarzyszyły trzęsienia ziemi; w miesiącu maju 1855 r. Wezuwiusz wyzionął znaczną ilość lawy, a ani w obserwatoryum wulkanu ani w Neapolu, nie można było spostrzedz najmniéjszego śladu trzęsienia ziemi.

Jeśli wstrząśnienia wywołują drganie gruntu w pasie wulkanicznym, a nie można dostrzedz jednocześnie najmniejszéj styczności tych zjawisk z wybuchem stożka popiołów lub strumienia lawy, najniezawodniéj żadna przyczyna naukowa nie nakazuje twierdzić stanowczo, że wstrząsnienia te pochodzą z utajonego ogniska płonących materyj, i że powoduje je para pragnąca skruszyć skorupę ziemską. Podobne twierdzenie byłoby tem przeciwniejsze wszelkim zasadom obserwacyj naukowych, jeśli chodzi zwłaszcza o trzęsienia ziemi, mające miejsce zdala od jakich bądź wulkanów.

Wprawdzie inna znów hipoteza każe uważać te gorejące góry za ogromne klapy bezpieczeństwa, i utrymuje że kołysania gruntu powinny głównie dawać się uczuć pod temi właśnie częściami powierzchni planetarnéj, gdzie nie ma żadnego otworu komunikującego się z lawą. Lecz jakiż wtedy może być powód, że to kołysanie gruntu nie powtarza się stale, zdala od tych olbrzymich otworów, sterczących nad brzegami morskiemi, oraz czemu częste wybuchy Wezuwiusza i Etny, dając ujście uwięzionym parom i lawom, nie zapobiegają bynajmniéj trzęsieniom ziemi w Kalabryi?

Uważający wulkany za klapy bezpieczeństwa stron poblizkich, przedstawiają na poparcie swéj teoryi kilka faktów przeszłych w dziedzinę legend, których nic bynajmniéj nie dowodzi pewności, jak to dostatecznie wykazuje p. Otto Volger.

I tak podczas trzęsienia ziemi w Lizbonie, Wezuwjusz wyrzucający wielką massę pary, miał niby wciągać w siebie nagle wyrzucane kłęby, i niebawem wyczerpały się strumienie lawy wylatujące z jego łona. Alež zuchwałe to twierdzenie opiera się jedynie na nie dość wyraźnym frazesie Kanta, opisującym katastrofę lizbońską. Z resztą wszak młody naówczas filozof, nie opuszczał jeszcze wtedy wcale rodzinnego swego miasta Królewca; nie podróżował, nie sprawdzał, i w opisie swoim zamieścił wiele baśni, których dziś już niktby ani rozbierał ani powtarzał. Humboldt, daleko pewniejszy w téj materyi sędzia, mówi, że wulkan Pasto, zionący przez trzy miesiące wysokie słupy dymu, zaprzestał wyrzucać parę właśnie w chwili. gdy o 400 kilometrów odległości, trzęsienie ziemi w Riohamba i wybuch błot Moya, były powodem śmierci 30,000 do 40.000 Jndjan. Jednak nawet słynne imie Humboldt'a, nie powinno nam dozwalać zapominać, jak rzadka i trudna jest komunikacja z płaszczyznami Andów, i że na pół dzika, w téj 400 kilkometrowéj przestrzeni rozproszona ludność, nie daje dostatecznych gwarancyi pod względem obserwacyj naukowych.

Toż samo można powiedzieć o *Slanerosach* (mieszkańcy płaszczyzn Venczueli) nic nie dowodzi że rzeczywiście słyszeli przeraźliwy grzmot podziemny, w téj właśnie chwili gdy wulkan Saint-Vincent wybuchnął o 1,175 kilometrów odległości w prostéj linji.

Nareszcie i twierdzenie że podczas trzęsienia ziemi w Kalabrji, Stromboli odpoczął nareszcie po swéj nieustannéj pracy, na błachych bardzo opiera się danych. Widziemy więc że fakta stanowiące podstawę najwięcéj upowszechnionéj teorji o trzęsieniach ziemi nie mogą się chełpić niezbitemi dowodami, a tem samem nie zwalniają geologów od bezpośrednich obserwacji.

(d. n.)

NA SŁOŃCU.

Powiedźcie proszę jak się wam zdaje:
Czy wszędzie równo słoneczko świeci?
Czy obojętne na step lub gaje,
Czy mu to samo kwiaty czy śmieci?

Słońce żar sypie w kamienne grody,
A uśmiechami darzy ogrody,
W puszczach straszliwe nieci pożary;
A w cichym gaju między konary,
Rozświeca jakby okna u fary,
Ozłaca ściany w ubogiéj chatce,
W promieniach dziecię ukaże matce,
Błyśnie szyderczo, gdzie złe zobaczy,
Gdzie śpią leniwcy spojrzeć nie raczy,
I skryje w chmurkę.... tak się zasmuci,
I taki promień żałośny rzuci,
Że patrząc na nie, chmurka zapłacze.
Sama gdy taki promień zobaczę,
To zaraz spojrzę w siebie nie rada,
I serce trwogą nań odpowiada.

Szczęśliwa strona! szczęśliwa praca!
Które zasłużą u Boga tyle,
Że słońce rade do nich powraca,
By złocić wszystkie kątki i chwile.

To w jasnych oczach gwiazdką zaświeci,
To w gaju złote rozwiesza sieci,
To smutną brzozę do życia budzi,
W promieniach krzyża pociesza ludzi,
I świeci jasno, czysto, wesoło,
Skoro się spotka z szczęściem i cnotą,
A na pogodne i zacne czoło,
Składa co wieczór koronę złotą.

Gabrjela Puzynina.

Pogadanka Tygodniowa.

Chciałem niezmiernie obszernie rozpisać się o pojawionych już u nas fijołkach i śniegu; o kilku stopniowym mrozie w nocy a cieple w południe, a nawet o grzmotach i piorunach w Berlinie, ale przypomniałem sobie drugą scenę w pomieszkaniu p. Hilarego, do której przedstawienia zobowiązałem się w ostatniéj pogadance.

Zostawiliśmy go zatopionego w poduszkach fotelowych, zaciekawionego odgłosem dzwonka w przedpokoju. W kilka chwil potem automatyczny Filip zwiastował panią Sylwję, ciotkę pana Hilarego, z zapytaniem czy może być przyjętą, przez upadającego pod ciężarem próżniactwa pana domu.

— I owszem, prosić — odrzekł p. Hilary i uśmiechnął się zadowolony, zyskaniem sposobności zadławienia przynajmniéj godziny czasu przed wyjściem z domu na objad. Wkrótce drzwi się roztworzyły z trzaskiem i szybkim krokiem wbiegła pani Sylwja, kobieta choć niemłoda, ale żywa, fertyczna i idąc mówiła łamiąc ręce rozpaczliwie:

— „Ach! mój siostrzanku, nieszczęście, nieszczęście! jestem w rozpaczy i nie mogę się uspokoić."

— „Masz tobie"— mruknął p: Hilary— „miała po co przychodzić żeby mi psuć humor na dzień cały swemi jeremjadami.— Głośno zaś dodał:— i cóż tam takiego się stało?

— „Ach! nieszczęście!— Wystaw sobie mój siostrzyczku zgubiłam kołnierz piżmowcowy, do którego z takim trudem, z takim wysiłkiem przyszłam zaledwie. Podawałam do Kurjera, latałam, biegałam, dowiadywałam się, wypytywałam, wszystko na próżno, przepadł jak kamień w wodzie. Ach! rozpacz mnie ogarnia.

— „No — no— odezwał się p: Hilary z uśmiechem, ucieszony że wypadek nie zrobi napaści na jego apetyt —i jakimże to sposobem tak wielkie nieszczęście cioteczkę spotkało?

— „Wam bogaczom łatwo sobie żartować, ale nam biednym ludziom, tak ciężko pracującym, tak nie wiele mogącym oszczędzać... ponosić straty... to okropność... to życie brzydnie... to.... to...

Pani Sylwja załkała i przyłożyła chustkę do oczów Pan Hilary uśmiechnął się i poruszył ramionami.

— I jakimże się to stało sposobem?

— Na Podwalu zsunął mi się widać z ramion. Wicher niegodziwy latał jak szalony i porwał...

— I porwał? — No, to brutal. Ale na co kołnierz bez całkowitego futra?

— Nie stać mnie na futro, mój siostrzyczku, lepsze coś jak nic.

— Ale to śmieszność moja cioteczko, jakbym był bez butów na nogach, a w rękawiczkach eleganckich na rękach.

— Mój siostrzyczku, jak cię widzą tak cię piszą. Dziś tak futra upowszechnione, że lada rzemieślniczka ma futrzaną salopę. Jabym umarła ze wstydu, gdybym się chociaż kołnierzem futrzanym nie przystroiła.

— I sądzisz cioteczka że tem oszukasz kogo? Czy to kołnierz dodaje ciepła? Ozdoba zaś fałszywa nikogo w błąd nie wprowadzi.

— Jesteś rozumny jak Herkules, mój siostrzyczku. Ja to wszystko znam, rozumiem i pojmuję, ale trudno płynąć przeciw wodzie. Tyle kobiet chodzi tylko w kołnierzach futrzanych a ja miałabym gorszą być od nich? Nigdy! nigdy! — wolałabym nie jeść, nie pić, nie spać, sprzedać ostatnie krzesło w domu, aby tylko módz się na ulicy przyzwoicie pokazać. Teraz trzeba będzie przez całe lato od ust sobie odejmować, żeby zebrać fundusz na zgubiony kołnierz. O! ja nieszczęśliwa! — biednemu zawsze wiatr w oczy!

— A nie mogłabyś cioteczko, szyciem sobie zarobić?

— Ja? — miałabym zostać szwaczką? Honor mój nigdyby mi na to nie pozwolił.

— Ależ praca nikogo nie krzywdzi — odrzekł pan Hilary, umiejący bardzo pięknie o pracy deklamować. Do pracy jest obowiązany każdy i dopiero wtenczas społeczność jest w normalnym rozwoju, jeżeli każdy bez wyjątku pracę własną odpowiednią swemu stanowisku, oddaje na użytek publiczny.

— Ja się tam na filozofji nie znam, ale czuję moje z kołnierzem nieszczęście. Wolałabym umrzeć jak doczekać tak okropnéj straty. Tyle kobiet nosi...

— To też tyle ich gubi, jak o tem w każdym prawie Kurjerze można wyczytać w ogłoszeniach.

— Cóż mnie do tego? Dlaczegoż mnie takie nieszczęście spotkało?

Łkanie znowu dało się słyczeć, i znowu chustka powędrowała do oczów.

— A to kara Boża z temi elegantkami kołnierzowemi — odezwał się p. Hilary i mruknąwszy ciągnął daléj: — no, nie płacz cioteczka, kołnierz kupię...“

— To już choćby z elek damskich — „zawołała z uśmiechem p. Sylwja —“ mój siostrzyczku, mój droguniu. Elki damskie to prześliczne futro, będę w nich wyglądała jak prawdziwa pani, mój droguniu!

— Mniejsza o to, ale jak cioteczka go zgubisz, tak aus! drugiego nie kupię.

— Dobrze, dobrze — jesteś wspaniałomyślny jak Diogenes. Urodziłeś się na jakiego ministra francuzkiego albo angielskiego...“ —

— To — to — to“ — potwierdził p. Hilary a p. Sylwja trzepała daléj:

— Tobie być tylko w jakim wielkim biórze przy Napoleonie. Robić narady z Bismarkiem...

— To — to — to...

— Z Palmerstonem...

— Ten już umarł.“

— To jest drugi, a nawet dziesiąty, tybyś wszystkich rozumu mógł uczyć. Na Warszawę szkoda cię zmarnujesz się mój siostrzyczku, zmarnujesz!‘

— Ha! ja wiem moja cioteczko“ — odrzekł p. Hilary spoglądając z radością na zegarek oznaczający pół godziny ubiegłego czasu —„ ale cóż robić? Co robić w nudnéj Warszawie?

— Prawda — prawda a jaka ona śmieszna! — Wystaw sobie, pan Józef zgrał się w karty a dzieci w domu bez trzewików. Pani zaś Józefowa w przeszłym roku wzięty zegarek na kredyt, zastawiła w Lombardzie na sprawienie sukni na weselę pana Damazego. Z tem weselem to mój drogi czyste komedje. Pan młody chciał bez żadnéj wystawy, ale rodzice panny młodéj uparli się, powiadając że tem zaszkodziliby drugiéj córce, bo by ich ogłosili za bankrutów. Teraz latają za pożyczką, czy to nie smieszne? Czy to sąsiedzi nie wiedzą jak kto siedzi? Och! dla tego nędznego pozoru, ludzie mimowoli na śmiech się narażają. Pan Baldwin ma teraz proces o pobicie jednego ze swych wierzycieli, a lata po Warszawie dorożkami i państwa Adamowstwa wodzi po lożach pierwszo piętrowych pewny że wyłata się posagiem panny Anieli. Ale biedak oszuka się, bo państwo ich strasznie kulawe i już ostatkami gonią. Dobrze im tak, zabawka w pana strasznie kosztowna, niech każdy będzie czem jest, niech żaba nie nadstawia nogi kiedy konia kują. Hipek znów co to gra rolę pana, zarabia robieniem drzeworytów i kryje się z tem jakby z czem najgorszem. Czyż to praca może krzywdzić kogo? Julek znów ciągnie z bogatego wuja co mu się tylko uda, ale kwaśnych jabłek jakie zjada z tego powodu nie zazdroszczę mu wcale. Nadskakuje mu, pochlebia, czyż to nie poniża? Chłopak z głową, mógłby sam na siebie pracować, ale powiada że to niezgadza się z jego godnością. Nachylanie karku i wyciąganie ręki jak żebrak do tetryka wuja, to za nic ma, bo powiada że tego mało kto widzi, ale gdyby zarobkował pracą to by go wszyscy palcem wytykali i nie mógłby pokazywać się w arystokratycznych domach. Ach! jacy ludzie są niedorzeczni, jak płytkim obdarzeni rozsądkiem, to aż cóś dziwnego się dzieje. Ja nie lubię plotek rozsiewać, ale co prawda to prawda. Ludzie narzekają a sami sobie winni i zdaje im się, że tylko oni mają oczy i uszy, a drudzy to są ślepi i głusi. Jeszcze ci muszę powiedzieć o zadrapanym nosie pana Anzelma, o, rękawiczkach z dziurawemi palcami panny Julji o wyrwaniu długiéj sukni pani Doroty, przez którą wlatując pan Karol twarzą w rynsztok, przewrócił aż trzy wnuczki z babką wyprowadzone na spacer w prześlicznem ubraniu jak laleczki. To była czysta komedja. Jakiś jegomość ratując babkę, nachylił się ku niéj, drugi przechodzień zrzucił mu kapelusz, a z nim perukę i wystaw sobie, że perukę porwał pudel i puścił się przez plac ratuszowy, a za nim zgraja chłopaków i ów nagle wyłysiały jegomość. Co to miało być śmiechu... ja nie lubię plotek, ale co prawda to prawda. Wiesz siostrzyczku, że pan Wojciech ma straszne guzy z odciskami, otóż Pulcherjusz póty mu deptał po nich, aż odsadził od panny Marjanny. Ach! jaka to była scena!— bo to widzisz...“

Ponieważ trzecia godzina już dochodziła, pan Hilary przerwał jednym tchem wygłaszane przez panią Sylwję sprawozdanie, oświadczeniem że ma iść na obiad.

— „I cóż Janku z Bielca chciałeś dowieść? zapyta może nie jedna z Czytelniczek.. Małéj rzeczy, tylko prawdy staréj jak świat w znanéj przypowieści ewangelicznéj, że w oku brata źdźbło dostrzegamy łatwo, a w swojem nawet belki niewidziemy. Skończyłem.

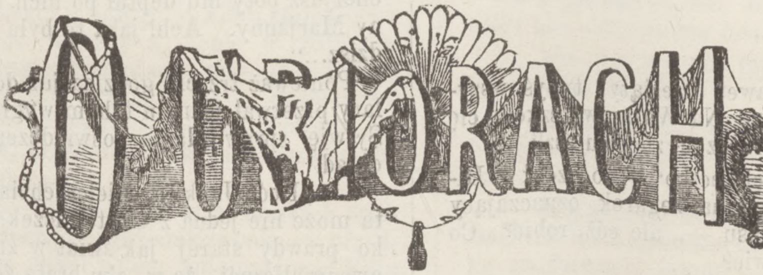
NA ŁĄCE.

Kochane kwiatki, powiedzcie proszę,
Kiedy was zrywam, do domu noszę,
Odświeżam wody, a tam powoli
Więdniecie same — czy was to boli?
Bo mi raz Zosia czuła choć żywa,
A sama świeża, miła by kwiecie,
Mówiła że was nigdy nie zrywa,..
Że wy choć w wodzie, byle w bukiecie,
Już tylko sztucznem życiem żyjecie?
Co do mnie wyznam w serca szczerości,
Że zwykłam równać kwiat do młodości,
Któréj gdy duszno w rodzinnym domu,
To pragnie odmian, chociażby gromu!
Kto wie, a może i kwiat się stroi,
By go dziewica znalazła w lesie?
On zna swą wartość, więc się nie boi,
Że go uczony w miasto zaniesie.
Sam fijołek, choć skromnym nazwano,
Wonią się zdradza, by go zerwano.
Polna *kabała*, co dużo gada,
Co zawsze wróżyć z paluszków rada,
Co ma gotowe dla dzieweczek swaty
Na młódź ciekawe odbywa czaty.

A od cykoryi do niezabudki,
Wiadomo kwiatkom że bardzo krótki
Jest czas dla słońca, wiosny i rosy.
Nie dziś to jutro zginą od kosy.
A czyż to kwiatek choć się zasuszy,
Nie daje woni? nie stracił duszy!
Zosiu! co nie chcesz by kwiatki rwano,
Co nad ich każdą bolejesz raną,
Wyznaj boś szczera — czy też nikomu
Nie wolno ciebie odrywać z domu?
Czy jak téj róży i tobie trudno
Odstać od pączków..? czy tobie nudno,
W obcym ogrodzie niby w bukiecie?
Czy chcesz na krzewie przekwitać w lecie?
O nie! z wesołéj korzystasz chwilki...
Kobieta różo wabisz motylki...
A pełna żartów, figlów bez grzechu,
Darzysz po kolcu i po uśmiechu.

A więc się poznasz w moim portrecie,
Więc sama lubisz kwitnąć w bukiecie!
Zosia mi powie (Zosia ostrożna)
Że kwiat w wazonie przenosić można.
Lecz w przenosinach kto tam odgadnie
Wiele to listków z róży odpadnie!
Gdy tu zbyt parno, a tam zbyt wieje,
Wiele to pączków na niéj zmarnieje!
Wiele motylków za nią poleci.
Wiele owadów listki oszpeci!
Ach o téj prawdzie kobieta róża
Dowie się kiedyś, ale dziś nie wie
Że się najlepiéj życie przedłuża
Kobiety w domu — róży na krzewie!

Gabrjela Puzynina.



KORESPONDENCJA Z PARYŻA.

Kilka sprawozdań następnych poświęcimy opisowi pięknych strojów letnich panien Kuhnke, pochodzących z pierwszych paryzkich magazynów, a dziś zaczniemy od okrywek i kapeluszy, jako od dwóch przedmiotów najpotrzebniéjszych na tę porę.

W okrywkach tegorocznych wielka panuje rozmaitość: nosić będą płaszczyki kaszmirowe zwane peplum, z zębami po bokach, burnusy także kaszmirowe, małe Beduinki z kapturkami, nakoniec krótkie paletociki dęte, tak jedwabne jak i wełniane. Do krótkich sukien na ulicę, najwłaściwsze i najdogodniéjsze są niewątpliwie paletociki, do długich beduinki i płaszczyki *peplum* pięknie wyglądają.

Beduinki małe, czarne kaszmirowe podszyte marseliną, mają szlak w guście tureckim wyszyty kolorowym jedwabiem. Z tyłu od kapturka spadają kwasty angorowe na długich sznurach.

Jasne beduinki z lekkiego wyrobu wełnianego w kolorowe punkciki na tle białem, objęte są wkoło aksamitką stosownego koloru, kwasty białe angorowe dopełniają ozdoby. Do skromniéjszych należą białe w drobne paski czarne, objęte aksamitką czarną.

Zwrócił uwagę naszą piękny płaszczyk peplum kaszmirowy, podbity czarną marseliną. Udołu spadał wolant koronkowy, nad nim szło naszycie z pasmanterji, przerabiane paciorkami czarnemi, w zębach po boku, wyszyte były wielkie bukiety. Kapturek zgrabnie przyfałdowany dopełniał ozdoby.

Uważaliśmy też wielki burnus rypsowy czarny bogato naszyty pasmanterją, bez podszewki, tylko objęty od spodu, plisą fijołkową jedwabną. Zdobił go zgrabny kapturek w kształcie chusteczki z długiemi sznurami i kwastami.

Paletociki jedwabne czarne, wycięte wszystkie w zęby różnego kształtu, naszywane bogato pasmanterją przerabianą paciorkami. U niektórych śpiczaste zęby u dołu, zakończone kwastami. Strojniéjsze paletociki, przeznaczone na wizytę, ogarnirowane są koronką, spadającą z pod zębów.

Z wełnianych krótkich paletocików, ładne są białe w centki pąsowe lub mocno żółte. Z tych pierwsze objęte pletnią czarną z pąsowem spięte na kościanne białe guziki: drugie zaś objęte pletnią czarną z żółtem, spięte na guziki bursztynowe.

Kapelusze tegoroczne odznaczają się także rozmaitością. Jedne z nich okrągłe jak czapeczki, drugie mają rondko tylko nad czołem, nakształt rydelka, boki zaś zupełnie ścięte. Najwięcéj widać fanszoni-

ków, które przy dzisiejszym układzie włosów najlepiéj przypadają do głowy. Dajemy tu szczegółowy opis pięknych modeli panien Kuhnke.

Pierwszy z nich ze sławnego magazynu Laury, okrągły jak czapeczka bez ronda, pokryty cały lilla gazą fałdowaną, przedłużoną po bokach, i tworzącą dwa długie i szerokie końce. Nad czołem wianek z liści pokrytych rosą; od tego wianka spadają na przód grelotki z długich lilla kwiatków z tyłu, w miejsce karczka idą takież grelotki, końce gazowe ścięte u dołu ukośno, zakończone są lilla grelotkami, z jednéj strony objęte blondyną.

Drugi fanszonik biały illuziowy, naszyty cały kryształowemi perełkami. Z lewego boku spadają dwa długie końce w formie peplum, przytwierdzone czarnym ptaszkiem. Szarfy do wiązania z białéj wstążki. Nad czołem wpięta gałązka jeżyny, złożona z liści i czarnych jagód.

Trzeci kapelusz biały krepowy szczególnéj formy z rondkiem podniesionym wgórę w rodzaju rydelka, przez wierzch przerzucone końce illuzjowe, tworzące ząb nad czołem; od zęba spada kwaścik z pereł białych. W koło rondka naszyte grelotki perłowe. Z pod tych grelotek widać diadem zielony aksamitny. Na boku przypięty bukiecik z margierytek, ze spadającą gałązką pomięszaną z długiemi liśćmi trawy. Szarfy illuzjowe spięte pod brodą stosownym bukiecikiem, oprócz tego wstążki białe, służą do związania kapelusza z tyłu pod włosami.

Czwarty fanszonik czarny tiulowy, zasiany cały sieczką lawową. Z przodu ząb naszyty w czarne lawowe kłosy, jeden koło drugiego; kłosy te nagięte do czoła stanowią zarazem i podpięcie. Na koki zarzucony woalik z takiegoż tiulu, przedłuża się po bokach i tworzy długie końce. Oprócz tego idą szarfy z czarnéj wstążki. Róża podpięta nad czołem troszkę z boku, dopełnia ładnego ubrania.

O innych kapeluszach powiemy w przyszłem sprawozdaniu, dziś opiszemy okrągłe słomkowe kapelusiki, które zalecamy szczególniéj dla młodych panienek.

Jedne z nich płaskie jak talerzyk z prostem rondkiem z brukselskiéj lub ryżowéj słomy, opasane są czarną aksamitką. Przez główkę w podłuż, przechodzi też podwójna aksamitka zakończona z tyłu dwoma puklami i długiemi końcami. Główną ozdobę stanowi kwiatek wpięty nad czołem z wierzchu rondka, lub wązkie piórko odwrócone do boku. Są takież same z czarnéj słomy.

Inne kapelusiki z rondkiem cokolwiek szerszem, zawiniętem u brzegu w wałek; ubranie ich składa się ze sznuru słomkowego, przepasanego w koło, ze spadającemi kwastami. U niektórych wpięty nad czołem bukiecik z polnych kwiatków, pomięszanych z kłosami.

Zasługują też na opis ładne kapelusiki *Tudor* z rondem podniesionem w górę. Rondko naszyte całe aksamitem czarnym, na aksamit spada frendzla czarna lawowa.

S. z. Ż. D.

Nowości zagraniczne

Journal des Dames et des Demoiselles. Ciekawym czytelniczkom nowości wiosennych, donosiemy z wielkim ich zapewne zadziwieniem, że na porę zbliżającą się, *suknie krótkie* będą modne.

Jakto, zawołacie, suknie krótkie! a wszakże całą zimę w najlepsze włóczono ogony po salonach i jedynie bardzo młode panienki krótko się ubierały. Otóż odpowiemy, że i teraz do wielkiego stroju robić będą suknie powłóczyste, wygnano tylko ogony z ulicy i z wagonów podróżnych gdzie niezmiernie są niewygodne i wyglądają nadzwyczaj śmiesznie.

Strój zatem wiosenny składa się z krótkiéj podwójnéj spódnicy i paletota tegoż samego koloru, wolnego dla osób starszych, a wciętego dla panienek. Gładkie materje czy to jedwabne czy wełniane, będą mieć pierwszeństwo nad wyrobionemi w deseń. Najmodniejsze kolory są popielate we wszystkich odcieniach, czarny z białym, biały z fijoletowym, kolory dzikie i drzewne. Fałdów nadzwyczaj mało noszą u spódnic, zaledwie kilka widać z tyłu i z boku. Spódnice z białemi koszulkami, suknie zwane Gabriele i kaftaniki bez rękawów używane bardzo na zwyczajne w domu ubranie.

Kapelusiki pozostaną zawsze małe; najwięcéj wyrabiają ich obecnie z krepy i z tiulu. Pora balowa wprawdzie minęła, ale obecnie znajdujemy się w porze koncertowéj, więc i stroje wieczorne przygotowują po magazynach.

Po największéj części są to suknie gładkie jedwabne z długiemi ogonami, pod szyję lub wycięte do gorsu, z krótkiemi rękawami, do których służą rękawki i kanzutka tiulowa.

OPIS RYCINY KOLOROWANEJ.

Ubranie wizytowe. Suknia jedwabna brązowa (*marron*) w czarny przerabiany rzucik, wycięta u dołu w greckie zęby, objęte czarnym i brązowym sznurkiem. Pod to spódniczka jedwabna gładka tegoż koloru z wolantem fałdowanym w jedną stronę. Paletocik takiż sam jak suknia, wycięty odpowiednio w zęby. Kapotka jedwabna szafirowa, przybrana gałązkami koralowemi z czarnéj lawy.

Ubranie małéj dziewczynki. Sukienka alpagowa w białe i fijołkowe paski z wysokim stanikiem i długiemi rękawami. Na to krótsza spódniczka popelinowa wycięta w zęby, przybrana z przodu trzema rzędami srebrnych guzików. Toczek fijołkowy aksamitny opasany szlakiem białych piór. Włosy podniesione z przodu w górę, z tyłu rozpuszczone. Buciki kozłowe okładane skórą lakierowaną.

Trzecie ubranie dla młodéj panienki na obiad proszony lub na teatr. Sukienka z bareżu jedwabnego lub z fularu jasno-popielatego, przybrana z przodu rzędem koralowych guzików. Na spódnicy oznaczona tunika plisą w zęby z materji pąsowéj, brzegiem plisy dana wązka

gipiura czarna. Pasek pąsowy zakończony z boku popielatą rozetą z koralowym guzikiem w środku. Stanik wycięty czworograniasto, przybrany pąsową materją. Pod spód szmizetka biała muszlinowa, zawleczona aksamitką. Szmizetka ta może być wycięta, lub pod szyję, z krótkiemi lub długiemi rękawami według potrzeby. Włosy przepasane dwa razy aksamitką pąsową.

DONIESIENIE.

Nakładem księgarni A. Dzwonkowskiego, wyszły następujące dzieła:

1. O Pokorze nauka dla wszystkich przez X. Hubego, części troje. Cena kop. 60.

2. Żywot Śgo Franciszka z Assyżu, Patryarchy trzech zakonów, z kronik wyjęty, z przedmową X. Prokopa z 2 rycinami. Cena rs. 1.

3. Żywot Śgo Felixa szczególnego patrona chorych dziatek, z ryciną. Cena kop 15.

4. Książka do nabożeństwa dla dziewcząt Rzymsko-Katolickiego wyznania, przez Paulinę. Cena kop. 30.

5. Nabożeństwo Majowe (Pieśni przedrukowane z książeczki p. t. Nowy Miesiąc Maj przez O. Prokopa). Cena kop. 6.

6. Gwiazdka czyli kolęda na rok 1867 i 1868 z dodaniem bezpłatnym kalendarzyka na r. b. Cena kop. 50 na welinie kop. 60. Przesyłka kop. 10. Nabywca ma prawo do premjów które losowane dostają się blisko połowie kupujących. Wartość największego r. s. 150—drugiego 100 i. t. d.

7. Noworocznik adresów i ogłoszeń na r. 1867 kop. 30— przesyłka ko. 15.

8. Noworocznik, kalendarz illustrowany na r: 1866 i 1867 r: s: 1. oprawny z dodatkiem muzycznym r: s: 1 kop: 50— ze złoconemi brzegami r: s: 3.

Z lat dawnych Noworocznik dla Polek na rok 1861 1862-–1363—1864– 1865, czyli pięć tomów r. s. 3 za wszystkie razem Pojedyncze kop: 75 przesyłka za egzem. kop· 15.

9. Geografja S. Strojnowskiego zeszyt v-ty tego znakomitego dzieła opuścił prasę i kosztuje kop. 37½ (złp. 2 gr 15). Kupujący wyszłe zeszyty obowiązany jest zapłacić prenumerando zeszyt następny. Płacy prenumeratę z góry za dwa tomy Geografji każdy obejmujący 800—1000 stronnic) dostaną takowe za rs. 5. Cena ta podwyższoną zostanie po wyjściu 1-go tomu. Prenumerować można we wszystkich księgarniach krajowych. Skład główny w księgarni A. Dzwonkowskiego ulica Miodowa Nr. 482 (nowy) 4). Koszta przesyłki pocztą wynoszą 50 kop. od tomu.

(Nr. 222–3–3)

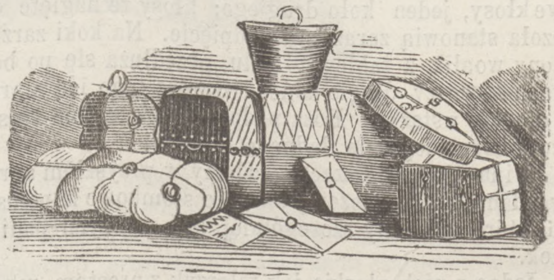
PRZEPISY KUCHENNE.

Baby migdałowe.

160 żółtek trzeć w donicy pół godziny, dodać mąki bardzo suchéj filiżanek sześć, trzeć kwandrans, drożdży filiżanek dwie i znowu trzeć trochę, migdałów słodkich drobno krajanych filiżanek dwie i kilkanaście gorzkich, trzeć pół godziny. Cukru miałkiego filiżanek cztery i znów trzeć pół godziny. Nalać ciasta trzecią część formy, wysmarowanéj niesoloném masłem, postawić w ciepłem miejscu żeby rosło, a jak wyrośnie prawie pełna forma, wsadzić do pieca napalonego jak na chleb pytlowy. Po wyjęciu trzeba babki trzymać godzinę w formie aż ostygną.

Sand-Tort.

Masła funt utrzeć na śmietanę, dodawać po jednem żółtku aż do 9-ciu, cukru pół funta miałko utartego, mąki funt, olejku cytrynowego trochę — godzinę trzeć w donicy, potem dodać araku pół kieliszka. Piankę od 9 jaj zmięszać i wlać w płaski rondel wysmarowany niesolonem masłem. Po upieczeniu lukrować, ubrać konfiturami i jeszcze na krótki czas wstawić do pieca, aby lukier usechł.



Pani Izabelli S. w Poniewieżu. Palto męzkie watowane z dobrego materjału kosztuje rs. 50. Opakowanie i opłata pocztowa około dwóch rubli. Podszewki na lato nie można odejmować.

Pani Bronisławie W. Obłożenie do kapelusza okrągłego z białych i czarnych piór albo z fijołkowych i czarnych piór kosztuje rs. 2. Naszyjnik z czarnych pereł rs. 3.

Pani Julji K. Suknia będzie za trzy tygodnie ufarbowana, należytość wyniesie rs. 3 kop. 50. Teraźniejsze kapelusze okrągłe mają główki bardzo niskie. Uprani e i przerobienie wyniesie kop. 90.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek.)

Dodatek do Nr. 16 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 8 (20) Kwietnia 1867 r.

DZIEDZICZKA JODŁOWCA

POWIEŚĆ,

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg.)

A ty bradzo go kochasz?

— Paniczuniu!.. — zawołała z głębi duszy, a młoda dziedziczka ją zrozumiała.

— Gdzież Tomek poszedł teraz?

— Do miasteczka pewnikiem... na rozpacz... i na przekór ojcu...

— To jest niedobrze, bo dzieci rodzicom nigdy na przekór czynić nie powinny.

— A juźci... jeno, że to taka desperacja...

— Pomódl się, dziewczę: poleć siebie i Tomka Bogu i Pannie Najświętszéj. Umityguj Tomka, by szaleństwa żadnego nie robił, i ojcu na złość nie czynił. Dziś jeszcze pomówię z Jantkiem Sroką, jako swadźba wasza, i wszystko załatwię dobrze. Zobaczysz dziewczyno!

Kasia rzuciła się jéj do nóg — całowała je — i płakała.

— Powstań, powstań! Nie lubię tego. Miéj dobrą nadzieję i wiarę. Zostań się z Bogiem! — Janina oddaliła się szybko.

Lżéj jéj teraz na duszy — lubo, że rzewno w sercu. A poranek i piękna w koło natura, niby wdzięczniejszy jeszcze przybrały obraz. Szczęście, które niosła — które mogła nieść drugim — nieokreśloną dawało jéj pogodę ducha.

„Dzięki dziedzictwu Jodłowca!“ — poszepnęła sobie, i łzę z oka otarła.

W południe, wezwała do siebie rządcę Zawilskiego.

— Mój dobry panie — wymówiła z uśmiechem, polecę panu interes, który mi przyrósł do serca, a potrzeba go dyplomatycznie wykonać.

— Cóż pani rozkażesz?

— Syn gospodarza Antoniego Sroki z Wolnicy chcę pojąć Kasię, córkę rataja Marcina.

— Wiem pani, znam tę całą sprawę miłosną. Parobczak pogroził ojcu, że się utopi, albo powiesi.

— A cóż ojciec na to.

— Idź do djabła! — krzyknął. Stary uparty i nie chce ubogiéj synowéj.

— Otóż mój panie, dam wiano Kasi: 600 złp. pol. i dwie krowy, co pewnie starego ugłaska. Przejedź się panie do Wolnicy, i powiedz to Sroce. Przedstaw mu, by syna nie popchnął do jakiego czynu rozpaczy, a lepiéj niechaj dwojga uszczęśliwi ludzi. Chciałam sama pojechać...

— Tego niepotrzeba, pani! Odrobię wszystko od razu.

— To jedź-że dobry, mój panie!

We dwie godzin niespełna, rządca z missyi swojéj powrócił. Panie siedziały na werandzie — i, nadchodząc, już zdaleka się uśmiechał.

— A cóż tam, mój panie? — posunęła się ku niemu pani Jodłowca.

— Och, pani! stary aż rzucił się z radości. Znać strach miał o syna, a nie chciał kapitulować. Zawołał zaraz na żonę, która zgryziona, gdzieś tam w komorze płakała, i kazał jéj chłopaka poszukać. Dziś wieczór przyjdą tu wszyscy, by pani swoje złożyć podziękowanie. A pewnie zaraz i zrękowiny na sobotę ułożą.

— Serdecznie się cieszę, i panu dziekuję! — podała mu rękę, którą do ust poniósł z uszanowaniem.

Wieczorem przybyli Srokowie z Tomkiem do pałacu, świątecznie przybrani. Przyszli także i Marcinowie z Kasią — która, jak kwiatek wyglądała polny. Wpuszczono ich zaraz do pokoju.

Dziękowali młodéj dziedziczce za doznane dobro— i prosili o jéj błogosławieństwo dla młodéj pary.

Janina przy téj sposobności powiedziała małą nauczkę moralną staremu Sroce, a większą Tomkowi, powołując się na czwarte przykazanie Boże.

Kasi przyobiecała zielonego kamlotu na ślubną suknią — i sprzęty domowe, które nadworny zrobić miał stolarz. Poczem obiedwie odeszły rodziny — by uraczyć się pospołu.

Janina wyszła na werandę. Księżyc w całym blasku na ciemny wytoczył się błękit. Drzewa, krzewy i kwiaty, promienie jego w tajemniczy urok światłocienia ujęły. Cisza uroczysta wszystko niby ukołysała w około. Wsparła się na galeryi i wzrokiem utonęła w pięknym nocy obrazie — a myślami daléj...

Z lekka przysunęła się Julja — objęła ją w pół i przytuliła sie do niéj.

— Dumasz, Janinko? — poszepnęła z cicha.

— Myśli moje i marzenia majaczą w téj chwili, że i sama sobie z nich sprawy zdać nie umiem. Powiem ci tylko, że mi błogo na duszy: czuję się zaspokojoną, szczęśliwą niemal, jako dziedziczka Jodłowca.

Z Warszawy napisała Frania.

„Wczoraj był u nas profesor Bylewicz. Z jakimże o Tobie mówił uniesieniem!.. Byłabym go mogła uścisnąć z wdzięczności — a ucieszona Adzia już po łysinie pogłaskać go chciała. Odwiedził niedawno, jadąc z Krakowa, proboszcza w miasteczku, swojego kolegę szkolnego — i nasłuchał się wiele o Tobie.

— "I ja...,. — począł się jąkać — "i ja... stary g... mogłem sobie roić!.. To jest perła bezcenna! Czczę i uwielbiam tę panią ponad wszelkie wyrażenie. Niechaj Bóg da jéj szczęście!

Cóż jednakże powiesz Janinko, gdy Ci doniosę: że z profesora i panny Dubois będzie małżeństwo? — Ucieszysz się zapewne niemało. I myśmy się ucieszyły szczerze.

Panna Dubois, zanosząc się od śmiechu, oznajmiła nam tę nowinę.

Poczciwy jednak profesor miał łzę na oku, mówiąc nam o tém.

Jak to ich charakteryzuje obojga! —

Mama twierdzi, że to bardzo dobrana będzie para. Oboje są dobrzy.

Boże, daj im pomyślność wszelką! z Zajezierza napiszę więcéj.

Całujemy Cię z duszy całéj!

Frania.

IX.

True love is like spirits i spoken of by all, seen by few.

Bulver.

Po Św. Hubercie, patronie myśliwstwa, naznaczył pan Gromontowski zapowiedziane polowanie na dzień 7 i 8 listopada — i zaproszenia rozesłał: by łaskawie już 4 i 5-go stawić się raczyli, dla spólnéj narady urządzeń i przygotowań, a raczéj pewnie dla spólnéj zabawy.

Janina w wigilią wszystkich ŚS. z towarzyszkami swojemi przybyła. Odprowadził je pan Władysław, zabawił przez święto, a potem znowu 5-go miał przybyć.

Od dnia św. Huberta codziennie przybywali goście myśliwi: kilku panów z Krakowa i dalszych okolic— a kuzynek pani Gromontowskiéj, pan Ludwik Nieświcki, przywiódł z sobą cały zastęp młodzieży. Pomiędzy tymi odznaczał się elegancją i tonem pan Rajnold Zadrzewski, świecący swoją hrabioską koroną na każdym szmatku bielizny i na każdym skrawku papieru.

— Kreacja nowa! — uśmiechał się sędziwy pułkownik **, z Krakowa przybyły — szyld nowiutki, więc go i wywiesza wszędzie, jakoby anons w dziennikach na kordjał pepsynowy lub pigułki uniwersalne, które szarlatan jakiś sporządził i patent na nie pozyskał.

Hrabia Rajnold po największéj części za granicą przebywał tylko, lub w Wiedniu. Mówił, oczewiście, jedynie-li z biedy po polsku. Renomował — i prawił tylko o steeple chase — o sportach różnych, i przybył do Złocina nie na polowanie... Przepraszam! właśnie, że na polowanie — a raczéj na upolowanie dziedziczki Jodłowca. Było to aż nadto widocznem od pierwszéj zaraz chwili. Ale też Janina zaraz, pewną lodowatością odpowiedzi swoich i spojrzeń, dalszą afektom jego położyła tamę. Od téj chwili pan Rajnold stał się dla niéj dziwnie naprężono-grzecznym — niby z odcieniem pewnym nadzwyczaj grzecznéj ironii — jak gdyby rad był impertynencją popełnić jaką.

Czwartego przybył pan Rohojewski. A piątego wieczorem wszyscy zaproszeni, prócz jednego Gorysławskiego, już byli w Złocinie zebrani.

— Chyba nie przybędzie — szeptała pani Gromontowska, pani Siewońskiéj — już tracę nadzieję. wszyscy zjechali, jego brakuje tylko!

— Ale nie odpisał!

— List może przyjść jutro.

Pani Siewońska ciche stłumiła westchnienie.

Niespodziewająca się niczego, niewyglądająca nikogo, — Janina tymczasem przy stoliku nieco na uboczu, na małéj zasiadła kanapce, i swobodnéj, z kilku panami, oddała się rozmowie. Przed nią leżała krzyżowa robota: arcypiękna arabeska, w cudnie dobranych kolorach, przeznaczona do dywanu przed wielki ołtarz jodłowskiego kościoła. Postanowiła ścieg każdy własną wykonać ręką — i prześlicznie, według własnego gustu, ze świadomością sztuki, mięszała barwy i wzór poprawiła.

Obok niéj siedziała Julja z białym haftem w ręku odpowiadająca z wdzięcznym uśmiechem, zajętemu nią tylko Władysławowi.

Był to długi salon o pięciu oknach, w którym wszyscy zgromadzili się goście. Przy dwóch stolikach panowie w preferansa grali.

Zatętniało przed oknami.

— *Quelqu'un arrive!* zawołał Rajnold.

Gospodarz domu wyszedł i po chwili nowego gościa wprowadził. Szmer powstał lekki. Janina spojrzała i o kilka kroków witała właśnie wujencia, z rozjaśnionym wyrazem twarzy, pana Jerzego Gorysławskiego. Janina poczuła, że blednieje—i w pomięszaniu pochyliła się nagle, niby włóczkę podnosząc.

Pan Jerzy przystąpił i powitał ją ze zwykłą uprzejmością i wyrazem szacunku. Podała mu rękę powitalnie — a już lekka krasa na jéj była wróciła lica. Usiadł o podal — i rozmowa potoczyła się swobodnie w zwyczajnéj formie wprawy towarzyskiéj, Janina uważała, że pan Jerzy raz po raz jeszcze palcami lewéj ręki guzik ciemnéj trzymał sukni.

Nazajutrz panowie strzelali do celu — a po drugim śniadaniu małe *corso* odbyli. Zapraszali także i panie — lecz te odmówiły.

Julja uważała, że pan Jerzy wiele z Władysławem przestaje, i mówiła o tem Janinie.

— Cieszę się z tego bardzo, bo znać go ocenił. Cieszę się szczerze! — odrzekła, bo dostrzegła, jak hrabia Rajnold z góry młodego traktował dzierżawcę a raczéj ignorował, gdy Tumiński równie dumnem odpowiedział mu wejrzeniem, poznawszy od razu, jakim duchem tchnie panicz.

Po objedzie, gdy towarzystwo do oświetlonego wróciło salonu. Janina, z przyległego nadchodząc pokoju, zobaczyła Gorysławskiego w ożywionéj z panią Siewońską rozmowie.

Julja z panem Władysławem przechadzali się po salonie, półgłośną wiodąc pogadankę.

— Janeczko! — przywołała ją pani Siewońska— czy pamiętasz nazwisko młodego malarza w Dreźnie, który rysował *szkice* do Słowackiego *Balladyny*?

— Zaraz... przypomnę sobie... było to nazwisko krótkie, dwu-sylabne...

— Czy polskie? — zapytał Jerzy.

— Polskie, kończące się na *ski*. Lecz podobno rodził się na Litwie.

— Panie znałyście go osobiście?

— Nie. Tylko nasz nauczyciel rysunków przyniósł nam na pokazanie te szkice. Młody malarz niezadługo potem na piersiową skończył chorobę.

— Paniom podobały się te rysunki?

— Zapowiadały wiele. Fantastyczność dziwnie dobrze ujęta, i wykonanie pomysłu bardzo umiejętne.

— Słowacki bezmierne daje pole malarzowi— poecie: fantazya olbrzymia, jak gdyby duchem swoim był cały wszechświat ze wszystkiemi jego ogarnął cudami. Fantastyczność gorąca, fantasmagorja barwna i pełna czarujących uroków.

— To téż i nader często nieprzystępny, niezrozumiały zupełnie — wtrąciła pani Siewońska.

— W trzech szczególniéj utworach. *Balladyna, Silla Weneda*.

Ale, potrzeba zrozumieć to, co się da zrozumieć, i o ile się da. Obrazy są tak piękne, tajemniczo piękne— pozwólcie mi, panie, to wyrażenie!— że porywają, unoszą, że je niby jasno, w najcudniéjszéj przed sobą widzimy plastyce. A przepiękny język czaruje, że się czyta i czyta, i płynie się daléj z tokiem téj słowa potęgi, jakoby czarodziejską pociągany muzyką.

— To też Krasiński wyrzekł: „Chyba Liszt tylko tak gra, jak Słowacki pisze„ — wymówiła Janina.

— Julko! — zawołała pani Siewońska i udała się za córką. A wyznajmy, że uczyniła z rozwagą, by młodą parę z sobą, niby sam-na-sam zostawić.

Janina poznała się na tem — i mocniejszy rumieniec na jéj zakwitł licu. Jerzy wszelako sądził, że go zapał dla Słowackiego wywołał, ile że i daléj mówiła zaraz:

— Przeczytałam razy siedm *Balladyna*, — a liczba to kabalistyczna — uśmiechnęła się — i nie zrozumiałam go lepiéj, czytając raz siódmy, jak gdym go po raz pierwszy czytała. Ale porywała mnie cudna harmonia mowy, porywały obrazy, w uroczych snujące się barwach... i myśli, które, jakoby perły rozrzucone... pojedynczo chwytałam... brylanty ogniem i blaskiem, kwiaty pełne czaru i woni.. i upajałam się.

— Pani czytałaś sama?

— Pospołu z Julką. Lecz pani Siewońska odbiegała nas zwykle.

— Bierze chłodniéj rzeczy, rozważniéj, a tak na poezyą zapatrywać się nie można. Zwłaszcza też na Słowackiego

— Pani Siewońska bo jedynie, bałwochwalczo, Mickiewiczowi oddana.

— Przemawia do niéj spokój formy, tego olbrzyma poezyi, jasność myśli, a może i serce wrzące...

W téj chwili przeszli obok nich Julja z Władysławem.

Pani Siewońska zagadała się znowu opodal z jednym z panów,

— Jakże się panu spodobał narzeczony panny Siewońskiéj? — zapytała Janina, chcąc rozmowę pokierować inaczéj — by za nadto na romantycznem nie rozbujała się polu.

— Podobał mi się bardzo. Odgaduję w nim zacność charakteru, czystość myśli zasadniczych i rozum praktyczny. A jestem przekonany, że panna... Julja szczęśliwy zrobiła wybór.

Janina już po raz trzeci zauważyła, że sie uchylał od wymówienia nazwiska Siewońska.

— I panna Julja, zostawszy panią Tumińską, pozostanie w sąsiedztwie Jodłowca?

— To szczęściem jest dla mnie!.. Nie puściłabym jéj nigdy z mojego sąsiedztwa...

— Pani masz w doktorze Zaruckim, w miasteczku, także bardzo prawego człowieka i lekarza dobrego.

— Pan go znasz?

— Znam, pani. Jest to przyjaciel mojego przyjaciela, ucznia medycyny w Krakowie.

— Doktor Zarucki dopiero od kilku tygodni jest w miasteczku.

— Jechaliśmy teraz z Warszawy w jednym wagonie. Mówił mi dużo o Jodłowcu...

Janina zróżowiała — i pan Jerzy z lekka pokraśniał niby.

W téj chwili przystąpił do nich pułkownik, i podając Janinie rękę, w imieniu całego zebrania prosił: by zagrać i zaśpiewać raczyła. Gorysławski na bok ustąpił — pułkownik powiódł ją do fortepianu.

Dnia następnego rychło już wrzawa myśliwców zbudziła wszystkich.

I Janina, wraz z Julją, przyglądała się z okien swojego pokoju łowieckiéj wyprawie. Nienawykły zasypiać ranki — pozbawiając się tego pięknego daru Bożego.

Hrabia Rajnold odznaczał się wśród wszystkich wykwintem swojego myśliwskiego kostjumu. Wspomniemy tylko o kastorowym kapelusiku z pąsowem piórkiem.

— Wygląda raczéj, jak gdyby na teatrze miał wystąpić — zaśmiała się Julja — a nie na myśliwca, wystawionego na leśną szarugę listopadową.

— To też zapewne nie będzie się szargał — odrzekła Janina — zajedzie swoim *gig*'iem, i będzie spektatorem tylko nieznanego mu polowania polskiego.

— Jakżeż pan Ludwik krząta się i biega.

— Figaro tu! Figaro tam! Kuzynek jest najgorliwszym z najgorliwszych lubowników myślistwa.

— Pan Jerzy! wymówiła Julja.

Gorysławski ukazał się właśnie wśród grona myśliwców: w krótkiéj bekieszce zielonéj, czarnem obłożonéj futerkiem; w czapce bobrowéj — i butach wy-

sokich; w ręku piękną trzymał fuzją. Zręczna a szlachetna jego postać odznaczała się szczególniéj korzystnie.

Zaszły pojazdy różne. Zabrzmiała trąbka myśliwska. Ruch nagły powstał. Gorysławski wsiadł na nejdyczankę Tumińskiego. W kilka chwil potem dziedziniec całkiem był pusty.

Około godziny trzeciéj z południa powrócili myśliwi — a za niemi nadszedł wóz naładowany trofemami pomyślnych łowów.

Zmieniwszy ubranie, stronnicy Nemroda po jednemu, po dwóch, jawili się w salonie — gdzie panie z robótkami siedziały.

Gwar w około zwolna się wzmógł. Każdy swoje opowiadał czyny i o niczem innem na teraz mowy nie było.

Hrabia Rajnold Zadrzewski tylko osowiał jakoś — znać czuł się *désapointé* — wsparł ręką głowę i dumał. Dumał — czyli drzemał? Otóż jest pytanie!.. Drzemał zapewne — bo dziś zbyt rano z pod ciepłych kołder podnieść się musiał. Panicz nawykł wstawać dopiero około południa — a niekiedy i późniéj jeszcze.

Posłyszano w oddali trąbkę pocztową. A niezadługo wjechał czterokonny powóz podróżny w dziedziniec.

Kilku panów przystąpiło do okien.

I panny, siedzące tuż przy oknie, przechiliły się nieco.

— Któż to przyjechał? zapytał pan Rohojowski, podnosząc się z fotelu.

— Pan jakiś — odrzekł Władysław.

— Nie znamy go — dodał kuzynek Ludwik.

Posłyszano szastanie w przyległym pokoju, gdzie właśnie znajdowały się panie Gromontowska i Siewońska. A po chwili wprowadził pan domu nowego gościa do salonu. Był to mężczyzna przystojny, wysoki, lat mniéj — więcéj czterdziestu, cery mocno śniadéj. Ubiór na nim znaczyła elegancya niewymuszona, ale zarazem i wyszukana. Na szyi miał białe, batystowe wiązanie widocznie paryskie, co tém bardziéj śniadość lica uwydatniało, lecz korzystnie wcale.

— Książe Bernard ** przedstawił go Janinie i Julij, a następnie obecnym panom.

— Znaliśmy się w Paryżu przed dwoma laty — wyrzekł książe Bernard uprzejmie, podając rękę panu Jerzemu.

— Nader miłe pozostało mi wspomnienie — odrzekł Gorysławski.

— Zamienili jeszcze frazesów kilka zwykłéj, salonowéj grzeczności, a potém zapytał Jerzy:

— Zkądżeż książe jedzie?

— Wprost z Paryża, na Wiedeń. Spieszę do ciotki: jéj imieniny są za dni kilka. Zboczyłem umyślnie, by pana Gromontowskiego odwiedzić. Panowie polowaliście dziś, jak słyszę.

— Tak, i dość szczęśliwie.

— Czy panie także? — zwrócił się książe do Janiny.

— Nie bierzemy nigdy udziału w podobnéj zabawie — odrzekła, i lekki uśmiech, zaledwo dostrzeżony, jéj usta okrążył.

— Wielką panie macie słuszność, bo to nie jest rzemiosło dla dam. Panie raczéj sztuki piękne wolicie. I wybacz pani, że tak *de plein vole*, podziwię tę świetność najpiękniéj dobranych kolorów i podjął koniec arabeski.

— *C'est magnifique!* Artyzm igły do wysokiéj doprowadzony perfekcji.

Książe Bernard usiadł obok na fotelu, i jeszcze uwag kilka pochlebnych, jako znawca uczynił. Potem zaczął opowiadać o fabryce gobelinów; którą zwiedził niedawno — a umiał opowiadać, mówił jasno i budził zajęcie.

Pan Jerzy z początku mięszał się do rozmowy — potem usunął się nieco, zagadał do Władysława, i po salonie z nim przechadzać się począł.

Dano znać do stołu. Książę podał rękę pani domu, Pan Rohojowski Janinie. Inni panowie paniom Siewońskim. Gorysławski był jednym z ostatnich w sali jadalnéj.

Książe Bernard w czasie objadu bardzo ożywioną rozmową zajmował panie, do któréj wiele mięszał się i hrabia Rajnold—pociągany magnesem wszechmocnym mitry książęcéj! Tłoczył się umyślnie, by usiąść naprzeciw. Chciał rozmowę na francuzką przedzierżgnąć — ale książe Bernard za wiele dobrego miał zmysłu, i niemal całkiem w polskim utrzymał ją języku.

Po objedzie zasiadł Jerzy do preferansa. Janina widziała go po raz pierwszy grającego w karty — i nader cierpkiego doznała uczucia. Widocznie chciał usunąć się od towarzystwa—a preferans przez cały wieczór mógł potrwać.

Książe Bernard, hrabia Rajnold, panowie Władysław, Ludwik, i jeszcze kilku z młodzieży pozostało przy paniach i bawili je wszechstronną rozmową, jak mogli.

W czasie herbaty, Gorysławski na chwilę do koła tego przystąpił znowu.

Właśnie jeden z młodych paniczów wrzucił jakiś szumny, ogólnikowy frazes przeciwko miłości własnéj, jéj słabostkom i próżności.

(d. c. n.)



Gilquin fils imp. r. des Fosses St J. 3 Paris.

3546

TYGODNIK MÓD

w Warszawie